

JERZY PELC

EDWARD STANKIEWICZ  
(UR. W WARSZAWIE 17 XI 1920 R.,  
ZM. W NEW HAVEN 31 I 2013 R.)

W lecie 1975 roku doroczne spotkanie amerykańskiego Linguistic Institute zorganizowano w Tampie na Florydzie. Tom Sebeok, którego znałem od kilku lat z różnych kongresów i sympozjów, zaproponował mi dwumiesięczny udział w tej imprezie. Nie mogłem skorzystać z ponętnego zaproszenia – bezpłatny pobyt, bagatela, na Florydzie – bo na cały rok akademicki 1974–1975 przyjąłem już inne: do Netherlands Institute for Advanced Study in the Humanities and Social Studies w Wassenaar pod Hagę. Zapytałem więc, czy zamiast mnie nie mógłby w Tampie umieścić jednego lub, jeszcze lepiej, kilku moich młodszych kolegów. Sebeok, profesor semiotyki na amerykańskim Indiana University w Bloomington, urodzony w Budapeszcie, skąd jako kilkunastoletni chłopiec wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, świetnie rozumiał los „bratanków” („Polak, Węgier dwa bratanki: i do szabli, i do szklanki”) za „żelazną kurtyną”. A że umiał spod ziemi wykopać fundusze, nie czekałem długo na zaproszenie grupy semiotyków, których wytypowałem: bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie przez pełne dwa miesiące. Sam mogłem tylko na kilka dni wpaść do Tamy, bo nie wypadało mi dłużej świecić nieobecnością w gościnnym NIAS-ie. Więcej o 1975 Linguistic Institute można przeczytać w moim wstępie *Od wydawcy* w VII tomie „Studiów Semiotycznych” (1977) na stronach 21–23.

I tak doszło do poznania Edwarda Stankiewicza. Polska grupa powitała mnie wiadomością, że jest tutaj wśród uczestników Polak, profesor lingwistyki na Uniwersytecie Yale, bardzo miły, i że serdecznie się zajął rodakami. Mieli rację: rzeczywiście był bardzo miły. Przy tym zaledwie o trzy roczniki starszy ode mnie – on matura w 1939, ja w 1942 – warszawianin, toteż przypuszczałem, że mamy takie same wspomnienia i takimi samymi oczami będziemy patrzeć na amerykańskie otoczenie. Widziałem, że z przyjem-

nością rozmawia po polsku, dla mnie zaś był to wypoczynek językowy po miesiącach odcięcia od polszczyzny. W czasie posiłków siadywaliśmy razem. Opowiadałem mu o dzisiejszej Warszawie, której nie znał, i dzieliłem się wspomnieniami o Warszawie naszego dzieciństwa – jak myślałem – nam obu jednakowo bliskimi: o parku Ujazdowskim i Łazienkach, miejscu codziennych spacerów moich własnych, Krzysia Baczyńskiego i obu jego siostr wujecznych, Marychny i Dziuli Zieleńczykówny, o domu mojego dzieciństwa w Al. Jerozolimskich wówczas 4, naprzeciw Banku Gospodarstwa Krajowego, blisko Nowego Światu, o tym, jak 25 września 1939 roku trafiła w nasz dom bomba, krusząc fundamenty jednego z filarów konstrukcyjnych przy bramie, a sprytny administrator nie dopuścił do naprawy, lecz obudował ranę i lej po bombie potężnymi drewnianymi podporami; wygląd całości budził więc grozę, jakby wszystko miało za chwilę runąć. O to właśnie chodziło. Przechodzący ulicą oficerowie Wehrmachtu wyjmowali swoje „lajki”, aparaty fotograficzne Leitz, i robili zdjęcia. Ale też żaden się nie kwapił, żeby zająć w tym domu kwaterę. Mimo to w 1943 roku nasza ulica została włączona do dzielnicy niemieckiej, zjawiła się z nakazem eksmisyjnym volksdeutschka nazwiskiem Oschek (zapewne Osiek) i musieliśmy przenieść się do innego domu, także „zusowskiego” (ZUS to Zakład Ubezpieczeń Społecznych, w którym pracował mój ojciec), o dwie przecznice dalej, na Warecką 9, jak się okazało – na rok, bo podczas Powstania Warszawskiego ta sześciopiętrowa kamienica doszczętnie spłonęła od bomby zapalającej; zostało po niej miejsce, którym obecnie biegnie ulica Krzysztofa Baczyńskiego, teraz już „Krzysztofa Kamila”. Stankiewicz słuchał z zainteresowaniem, ale wyczuwałem, że to nie była jego Warszawa. Tak samo, gdy snułem wspomnienia szkolne: o mojej szkole powszechnej im. Mikołaja Reja (według tradycyjnej ortografii „Reya”), o moim gimnazjum Batorego, zrazu w gmachu szkoły przy Myśliwieckiej 6, a po r. 1939 w prywatnych mieszkaniach, po maturze – o kompletach podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego, także w prywatnych mieszkaniach, m.in. w naszym. Ale gdy zapytałem Edwarda, gdzie z rodzicami mieszkali przed wojną, gdzie pracował jego ojciec, do której szkoły chodził, odpowiadał wymijająco, więc nie naciskałem<sup>1</sup>. A przecież od pierwszego spotkania zadzierzgnęły się między nami więzy koleżeństwa, dobrze się rozumieli i wkrótce polubili. Kiedyś namówił mnie do odwiedzenia go w jego rodzinnym domu w Hamden, jednym z przedmieść New Haven, zawiózł mnie tam samochodem po którejś konferencji. Gościł u siebie i przemocował, pokazywał swoje rysunki, akwarele i książki, oprowadzał po kam-

---

<sup>1</sup> Już po napisaniu i oddaniu do druku tego artykułu Profesor Zygmunt Saloni opowiedział mi, że Edward Stankiewicz wspomniał w ich rozmowie (1975 Linguistic Institute, Tampa, Florida), iż był uczniem Gimnazjum Zgromadzenia Kupców w Warszawie i że polskiego uczył go Juliusz Saloni, ojciec pana Zygmunta. J.P.

pusie Uniwersytetu Yale, posiedzieliśmy w gabinecie Edwarda, w jego „office”, zapoznał mnie z kilku swymi przyjaciółmi, obwoził po okolicy, a podczas swoich wizyt w Warszawie bywał u nas na obiedzie czy kolacji. Mimo tej serdecznej komitywy większość informacji o jego prywatnym życiu musiałem czerpać z Internetu, albo opierać na własnych obserwacjach lub domysłach. Od niego samego dowiedziałem się tylko, że po maturze pojechał do Lwowa, skąd Niemcy zesłali go do obozu, że po wojnie kilka lat spędził we Włoszech, a pod koniec lat czterdziestych wyemigrował do Stanów, zapisał się na lingwistykę i studiował pod kierunkiem Romana Jakobsona. Wiem też od niego, że bliskie mu były wspomnienia z naukowych i turystycznych pobytów nad Adriatykiem oraz przyjaźnie zawarte z ludźmi tam spotkanymi. Czuł się wśród nich jak w domu, chyba lepiej niż w Polsce. Wspominał, jeszcze przed przyznaniem Czesławowi Miłoszowi nagrody Nobla, że czynnie popierał kandydaturę poety, nie tylko w środowisku amerykańskim, a przypuszczam, że głos profesora Yale, do tego zaś wybitnego w skali międzynarodowej specjalisty w zakresie lingwistyki, jak również poetyki, musiał być słyszalny także w Europie. Natomiast o dzieciństwie, o swych rodzicach i rodzeństwie nie mówił nic. O żonie, córce i synu – niewiele. Bardzo też późno się dowiedziałem, że jest Żydem, i prawdę mówiąc – niewiele mnie to obchodziło. A dowiedziałem się pośrednio, właściwie dopiero wtedy, gdy podczas jednego z pobytów w Warszawie, zaproszony przez Uniwersytet na gościnne wykłady, wybrał jako temat język jidysz. Sam mi nie powiedział o swoim pochodzeniu; nawet wtedy, gdy podczas ostatniej wizyty w Warszawie poprosił mnie, bym go zawiózł na Stawki na Umschlagplatz i pod pomnik Bohaterów Getta na Muranowie. Ale te miejsca pragnęli odwiedzić także inni moi goście z Niemiec, Francji, Anglii, Włoch i obu Ameryk, którzy nie byli Żydami. Wobec tego, że nie mówił o pewnych swych sprawach, i ja go o nic nie pytałem. Rozumiem, że nie każdy jest taki, jak bezpośredni przełożony Klemensa Szaniawskiego z czasów stalinowskich, kierownik Redakcji Politycznej „Czytelnika”, Guranowski, który na pytanie Klemensa „To ty też?”, odparł ze śmiechem: „Nie, kozak doński!”. Może – myślę dzisiaj – Edward, zapamiętawszy z lat przedwojennych stosunek otoczenia do Żydów, nabawił się urazów i zahamowań, które powstrzymywały go od zdradzania takich spraw osobistych, jak jego rodowe nazwisko, chyba nie „Stankiewicz”, czy los rodziny, która zapewne nie uniknęła Holokaustu. On zaś ocalał i przeżył w obozie, być może dzięki własnemu talentowi graficznemu i malarskiemu – we Lwowie zajmował się m.in. podrabianiem dokumentów. Kto wie, czy nie było wśród nich i jego własnej metryki z polskim nazwiskiem, które sam sobie wybrał i nadał, co pozwoliło mu w kacecie przetrwać „na aryjskich papierach”. Ale to tylko domysł.

Adepci semiotyki polskiej zawdzięczają Edwardowi Stankiewiczowi oraz dwóm Tomaszom: Sebeokowi i Winnerowi, możliwość bezpłatnego – ze

względu na zapewnione noclegi i wyżywienie – udziału w międzynarodowych sympozjach i kongresach semiotycznych na Zachodzie: w krajach europejskich i za Atlantykiem. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stało się to możliwe dzięki zawarciu porozumienia między amerykańskimi uniwersytetami Yale, Indiana i Brown a Uniwersytetem Warszawskim w sprawie długoterminowej współpracy i wymiany naukowej w zakresie semiotyki. Z inicjatywą wystąpiły wymienione uniwersytety reprezentowane oficjalnie przez Stankiewicza z Yale, Sebeoka z Indiany i Winnera z Brown, którzy natychmiast zrozumieli, gdy im wyjaśniłem, że jeśli bym ja wysunął podobną propozycję, sprawa zostałaby na samym wstępie utracona przez nasze władze polityczne. Nie do pomyślenia bowiem było, by Polak, naukowy pracownik uniwersytetu, wyraził chęć nawiązania współpracy z kapitalistycznymi, burżuazyjnymi partnerami za żelazną kurtyną. Zupełnie inna sprawa, jeżeli tamci będą się ubiegali o plon polskiej socjalistycznej myśli naukowej. Wtedy możemy ich starania rozpatrzyć. Nie, umowa o współpracy to za wiele, nie będziemy się tak bardzo angażować. Co innego – niższa w hierarchii forma: porozumienie. W oczach władz główną przynętą był Uniwersytet Yale, bardzo wysoko notowany wśród uczelni wyższych w Stanach Zjednoczonych. Światowa pozycja naukowa Edwarda Stankiewicza, naszego rodaka, warszawianina, to, że był uczniem Romana Jakobsona, emigranta wprawdzie, ale jednak urodzonego w Rosji, i małżonka kolejno samych tylko Słowianek, wyłącznie z krajów „naszego” obozu – wszystko to miało znaczenie. Pozwolono mi występować z ramienia Uniwersytetu Warszawskiego. Brulionową wersję propozycji tego porozumienia przygotowaliśmy po polsku wspólnie w gronie pracowników Zakładu Semiotyki Logicznej, utworzonego na mój wniosek w Instytucie Filozofii UW i kierowanego przeze mnie. Następnie 26 maja 1978 roku zasiedliśmy z Sebeokiem, Stankiewiczem i Winnerem w czwórkę, żeby sformułować po angielsku ostateczny tekst tego porozumienia. Było to w przedostatnim dniu tygodniowej międzynarodowej konferencji semiotycznej w Radziejowicach, zorganizowanej przez nasz Zakład. Szerzej o tej konferencji napisałem w *Kronice semiotycznej – rok akademicki 1977–1978* w X tomie „Studiów Semiotycznych”, 1980, na stronach 157–160.

W czasie pracy naszej czwórki nad angielskim tekstem porozumienia ujrzałem innego Edwarda. Zawsze dotychczas przyjacielski, uprzejmy i łagodny, stał się apodyktyczny i nieustępliwy. Narzucał swym amerykańskim kolegom własne propozycje, oni zaś po nieśmiałyłch usiłowaniach wyrażenia swego odmiennego zdania raz po raz ustępowali. Zastanawiałem się wtedy, skąd pochodziła ta jego przewaga. Czy źródłem była wyższość Yale nad ich uniwersytetami, czy jego osobista międzynarodowa pozycja naukowa, czy silniejsza osobowość Edwarda, czy po prostu uznawali oni obiektywny fakt, że on jeden jest bardziej od nich biegły w angielszczyźnie, zarazem zaś zna

język polski, a zatem i szczegóły sformułowań zawartych w zaproponowanej polskiej wersji tekstu porozumienia? Zależało nam wszystkim na tym, aby wiernie oddać „dyplomatyczne” subtelnosci polskiego projektu, jako dostosowanego do oczekiwań władz politycznych, i jednocześnie nie przekroczyć miary zobowiązań, które by były do zaakceptowania przez uniwersytety amerykańskie. Podobnego zdarzyło mi się go widzieć jako dyskutanta na forum międzynarodowym w trakcie ustnych polemik naukowych: bywał zaczepny, atakował, a nawet zbliżał się do granicy uprzejmości i używał zwrotu w rodzaju „mój uczony kolega”, po który – jak mi wyjaśniali rodowici użytkownicy angielszczyzny – sięgają podobno zwłaszcza prawnicy, gdy w sposób jeszcze dopuszczalny pragną adwersarzowi wytknąć, że jest ignorantem. Również gdy Edward mówił o swych kolegach-językoznawcach, okazywał poczucie własnej wyższości: był zawsze bardzo krytyczny, żaden nie zasługiwał na jego uznanie i pochwałę. Nie ja jeden to dostrzegłem. Oto jego syn Steve wspominał:

He had no tolerance for what he considered stupidity, which included most people he ever came into contact with.

Szukając w Internecie informacji o Edwardzie, natknąłem się na wspomnienie Frances Brent, zaprzyjaźnionej ze Stankiewiczami, a nawet uważającej ich za przybranych dziadków jej dzieci. Nawet z nią nie chciał się dzielić osobistymi wspomnieniami. Gdy – jak pisze – pytała go o jego rodziców, dwie siostry i brata, a wiedziała skądinąd, że ojciec Edwarda należał do Bundu, matka zaś urodziła się w Kazimierzu, w ogóle nie odpowiedział. Przytaczam fragmenty jej uwag na temat upodobań i uprzedzeń Edwarda:

He didn't like: much of what was new (which drove his son and daughter wild), Noam Chomsky, whose concept of the 'Language Acquisition Device' he considered beneath contempt; incorrect pronunciation of consonants that ought to be geminated in Italian (though his own pronunciation of English could be hilarious); the wrong-headed notion that Yiddish is a dialect of German. He had been a bystander in the battle of the unfinished Yiddish dictionary... His tales of the current academic wars could be wearying (Frances Brent, *Tablet*).

A co lubił – zdaniem wspomnianej autorki? Lubił rysować, malować i śpiewać, podobno w szkole był „nadwornym poetą”. Żałuję, że nie widziałem, by na konferencjach, kiedyśmy siedzieli obok siebie, czy podczas wspólnych posiłków, kreślił na serwetkach karykatury obecnych. Wspominał tylko, że malowanie to jego hobby, które ja bym określił jako talent, i że syn odziedziczył po nim to zamiłowanie.

Long after he retired from Yale's Slavic Department – wspomina Frances Brent – he enrolled in local painting classes and went on road trips with his watercolors, captur-

ing picturesque scenes of remote New England villages. He had his favorite restaurants, not formal, but heimish, where the waiters would kibitz in whatever language was on the menu. He reserved his highest praise for those who mastered the fine points of Yiddish, „So-and-so – he would say – spoke a beautiful Yiddish”.

Lubił też:

Jewish cooking (latkes), poetry (Mickiewicz), classical music (Carmen). He had learned to play the mandolin when he was a teenager in Warsaw. He loved Polish tangos, and he liked to sing. At a party in the 1980s, Stankiewicz and Victor Erlich together sang ‘Internationale’ in Polish. He also took great pride in his contribution to the University of Chicago’s Latke-Hamantash debates:

A Jew develops from the cradle  
A craving for a knish and knaydl.  
He’ll glorify the gefilte fish  
But I, I love the latke dish...

Dalsze kwerydy w Sieci zaowocowały informacją, że *knish* jest to rodzaj kulebiaka, a więc pieczone, smażone lub grilowane ciasto, wypełnione фаршем z ziemniaków, kaszy, mielonego mięsa itd., a *latkes* to zwykłe placki zrobione z surowych tartych kartofli, podobno tradycyjne danie w czasie żydowskich świąt *hanukkah* czy *chanukkah*. Aneksja placków ziemniaczanych na rzecz kuchni żydowskiej obudziła moją patriotyczną czujność, byłem bowiem i jestem przekonany, że to polskie danie wiejskiej kuchni, no, ostatecznie międzynarodowe. Może pani Franciszka dopuściła się niecnej uzurpacji, nie mniej nagannej niż zabór czeskich przecież knedli dokonany przez Stankiewicza! Co do „polskiego” tanga, nie pierwszy raz starają się nam wynagrodzić szkodę i za odebraną naszą niezaprzeczną własność, placki kartoflane, ofiarują coś cudzego – tak jak w tym wypadku argentyńskie, a więc nie swoje, tango. (Ale zastrzegam się, że mogę nie być całkiem obiektywny, bo nie przepadam za plackami ziemniaczanymi: ani naturalnymi, ani posypanymi cukrem, ani polanymi ketchupem. Prędzej już za jadalny uważam placek zbójnicki, czyli hajdamacki, serwowany np. w Krakowie w restauracjach „Chłopskie Jadło”: duży placek ziemniaczany jest wtedy tylko podkładem, a istotę stanowi to, co się na nim znajduje: coś w rodzaju *boeuf Stroganow*, w rodzimej wersji „bef strogonow”, czy gulaszu. Proszę, żeby tej uwagi nie traktowano jako przejaw szowinizmu narodowego ani religijnego: podobnie krytycznie odnoszę się do tradycyjnego dania wigilijnego – klusek z makiem – byłyby moim zdaniem znacznie lepsze, gdyby nie zawierały klusek, tylko sam mak z miodem i bakaliami). I jeszcze jedno: zaskoczył mnie przykład utworu muzyki klasycznej, „Carmen”, który jako pierwszy nasunął się pani Franciszce. Ja, raptownie obudzony ze snu, chyba wymieniałbym coś innego. Cały artykuł Frances Brent znajduje się w Internecie pod ad-

resem: <<http://www.tabletmag.com/jewish-arts-and-culture/131944/the-napkin-artist>>.

Sprawa placków ziemniaczanych w kontekście „hanuki” czy „chanuki” wiąże się z napomknieniem pani Brent, że Edward był dumny ze swego udziału w „debacie na temat *latke – hamantash*”. Usiłowałem dowiedzieć się więcej o tej sprawie i stwierdziłem, że zacytowana jedna strofa otwiera ode Edwarda do placków kartoflanych, złożoną ze strof dziewiętnastu czy dwudziestu, oraz że ten heroikomiczny utwór to jego wkład do wspomnianej debaty, tradycji zrodzonej na University of Chicago w 1946 roku. Tematem kontrowersji jest bardzo istotna kwestia naukowa: czemu przyznać wyższość – plackom ziemniaczanym czy hamantaszom. A co to takiego owe hamantasze? Są to – jak w Internecie wyjaśniają uczone niewiasty – trójkątne ciasteczka, nadziewane do wyboru: karmelem i jabłkiem, makiem, śliwkami, morelami, nutellą lub – według przepisu rabina Olitzkiego – czekoladą i serem. Deser ten je się – jak podają – tradycyjnie w żydowskie święto Purim. W pierwszej chwili, i tylko na podstawie opisu, a nie degustacji, zrozumiałem, że gdybym umiał pisać ody, w swojej bym opiewał hamantasze, a nie placki ziemniaczane; już więc chciałem się opowiedzieć po stronie zwolenników ciasteczek, zwłaszcza tych – według recepty rabina – nadziewanych czekoladą i serem. Jednakże po chwili refleksji zmieniłem zdanie: czyż nie lepsze będzie rozwiązanie polubowne, mianowicie pogodzenie obu tradycji i decyzja ekumeniczna – najpierw zamiast placków ziemniaczanych wspomniany placek zbożniczy, być może nie koszerny, ale tym bym się nie martwił, a na deser ciasteczka wszystkich wymienionych rodzajów – po jednym w celach poznawczych, z myślą o dokonaniu uzasadnionego wyboru najlepszych i trwaniu przy nich. Pozostawała jeszcze do poznania tradycja żartobliwej debaty, która z University of Chicago rozszerzyła się na inne czołowe uniwersytety w Stanach Zjednoczonych, m.in. Harvard, Princeton, MIT, Berkeley, Stanford, nie licząc niżej notowanych, i przyciągnęła wybitnych uczonych różnych dziedzin, nawet noblistów. Naświetlali oni problem, każdy – ze stanowiska swej dyscypliny. Ta zabawa mędrców trwa nadal i ich spór zapewne jeszcze przez długi czas nie wygaśnie, bo – poza subiektywnym gustem konsumentów – brak podstawy do jego rozsądzenia, skoro nie ma *tertium comparationis* w rywalizacji placków z ciasteczkami, a w sformułowaniu zagadnienia zadanego do rozstrzygnięcia nie wspomina się, pod jakim względem wyższość ma być przyznana współzawodniczącym smakołykom. (Więcej o tej debacie można przeczytać w Internecie pod adresem: <<http://www.tabletmag.com/jewish-news-and-politics/124811/judaisms-epic-food-fight>>. Z kolei Edwarda Stankiewicza Ode to the Latke podano in extenso pod adresem <[www.tabletmag.com/scroll/132405/ode-to-the-latke-by-edward-stankiewicz](http://www.tabletmag.com/scroll/132405/ode-to-the-latke-by-edward-stankiewicz)>).

Tak oto, zza grobu, Edward sprawił, iż poznaliśmy ciekawostkę, o tyle niebłahą, że otwiera widok na różne obszary tradycji i kultury, chyba mało komu znane poza uczestnikami tych intelektualnych pojedynków. Żałuję, że nie zagadnąłem o to Leszka i Tamary Kołakowskich, którzy przez pewien czas spędzali letni semestr na University of Chicago, i jeśli nie Leszek, to pani Tamara może coś na ten temat słyszała.

Spośród rozlicznych uzdolnień Edwarda Stankiewicza – językowych, literackich, plastycznych i muzycznych – jedne okazały się dlań w życiu kołami ratunkowymi, inne drabiną do „sławy grodu”. Bezpośrednio po bombardowaniach Warszawy we wrześniu 1939 roku rodzice wysłali świeżo upieczonego maturzystę do Lwowa pod okupacją sowiecką, gdzie – jak podaje Frances Brent – zapisał się, acz niechętnie, na judaistykę w tamtejszym Instytucie Pedagogicznym, a po roku na filologię klasyczną na Uniwersytecie; wstąpił też do żydowskiego Klubu Pisarzy. Musiał zarabiać na życie. Imał się więc różnych zajęć: korepetycji, katalogowania, malowania portretów Marksa, Lenina i Stalina oraz dyplomów, ale także wież radiowych, obierania kartofli, pracy w restauracji, rąbania drewna, wożenia rikszą, urzędowania w Judenracie, wreszcie fałszowania dokumentów. Po zbombardowaniu i zajęciu Lwowa przez Niemców w 1941 roku wiódł żywot tułacza uciekającego przed łapankami. Zamknięty w lwowskim getcie pracował m.in. w fabryce skóry, a po kryjomu podrabiał szmuglowanym tuszem i piórem świadectwa pracy, dokumenty podróży i metryki urodzenia. Po dwóch latach udało mu się uciec do Dniepropietrowska, ale został tam złapany przez Gestapo, uwięziony, pobity i w lecie 1943 roku zesłany do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Widocznie miał wtedy dobrze podrobione, może własnej produkcji, aryjskie dokumenty, skoro do obozu trafił jako Polak, a nie Żyd, i nie tylko uniknął śmierci, ale otrzymał „funkcję”, która pozwoliła mu przeżyć w nieco znośniejszych warunkach, korzystać z biblioteki, a nawet za drutami napisać, skomponować i wystawić musical z własnoręcznymi dekoracjami i rekwizytami. Jako jedyny z całej swojej rodziny, złożonej z rodziców, dwóch siostr i młodszego brata ocalał z zagłady. (Informacje te pochodzą po części z „Yale News” z 5 lutego 2013 *In Memoriam: Edward Stankiewicz*, a po części zostały przez Frances Brent zaczerpnięte m.in. z książki Edwarda Stankiewicza *My War: A Memoir of a Young Jewish Poet*, University of Syracuse Press 2003, napisanej za namową córki, Barbary Handler; w pamiętniku tym oprócz tego, co napisał Edward, znajdują się też podobno zapiski z rozmów, które córka przeprowadziła ze swym ojcem. Nie miałem w ręku tych wspomnień. Uważam, że ich polski przekład powinien ukazać się w Polsce w dowód naszej wdzięczności za pomoc, którą Edward Stankiewicz wraz z Tomem Sebeokiem, rodem z Budapesztu, i Tomem Winnerem, Czechem urodzonym w Pradze, okazali swym polskim kołgom, kiedy od wolnego świata odgradzała nas żelazna kurtyna.



Talent językowy Stankiewicza sprawił, że Edward opanował kilkanaście języków. Frances Brent wymienia jako te, którymi posługiwał się biegle: polski, jidysz, niemiecki, rosyjski, serbsko-chorwacki, słoweński, macedoński, włoski, francuski, angielski i łacinę, mniej zaś biegle – hiszpański, bułgarski i rumuński. W polszczyźnie raz tylko przyłapałem Edwarda – nie, nie na błędzie, lecz na chwilowym odpływie wyczucia stylistycznego, gdy widokówkę, którą mi przysłał z jakiegoś pięknego miejsca, rozpoczął od „Najdroższy Jerzy”. Talent naukowy – pisze Harvey Goldblatt w swym obwieszczeniu o śmierci Edwarda skierowanym do społeczności Yale – zapewnił mu jedno z czołowych miejsc w światowym językoznawstwie słowiańskim. Robert Greenberg, były słuchacz i asystent Edwarda, a późniejszy profesor slawistyki, wymienia jako główne pola zainteresowań badawczych swego nauczyciela akcentologię i morfofonemikę, choć oprócz tego zajmował się fonologią i morfologią wszystkich języków słowiańskich, teorią języka i historią lingwistyki, dziejami słowiańskich języków literackich i prozodycznymi cechami potocznych języków słowiańskich oraz dogłębnie dialektologią słowiańską. Uważał, że tylko poznanie i zrozumienie fonicznych własności, które przysługują potocznym językom słowiańskim – ich siły, wysokości, tonu oraz iloczasu – pozwala przewidzieć odpowiednie formy w słoweńskim, serbsko-chorwackim, czeskim, polskim czy rosyjskim. Szczególnie upodobał sobie języki południowosłowiańskie, chętnie odwiedzał nieraz ich obszar i zawarł tam przyjaźń z niejednym językoznawcą. Profesor Greenberg wspomina, że Stankiewicz był wymagający, wzywał studentów do tablicy, aby wypisywali morfofoniczną transkrypcję jakiejś formy rosyjskiego czasownika albo podawali przykłady zależności akcentowania między poszczególnymi językami słowiańskimi (Robert Greenberg, *Edward Stankiewicz In Memoriam*, „Journal of Slavic Linguistics”, 1/2014).

Główne publikacje Edwarda Stankiewicza stały się inspiracją dla jego pokolenia językoznawców-slawistów; są to: *Declension and Gradation of Russian Substantives* (The Hague: Mouton, 1968); *Studies in Slavic Morphophonemics and Accentology* (Ann Arbor: Michigan Slavic Studies, 1979); *Grammars and Dictionaries of the Slavic Languages From the Middle Ages Up To 1850: An Annotated Bibliography*; *The Slavic Languages: Unity in Diversity* (The Hague: Mouton, 1986); *Baudouin de Courtenay a podstawy współczesnego językoznawstwa*, 1986; *The Accentual Patterns of the Slavic Languages* (Stanford, CA: Stanford University Press, 1993).

Ten pokaźny dorobek jest owocem pracy człowieka, który na drogę kariery naukowej wkroczył – na skutek wypadków historycznych – ze znacznym opóźnieniem. Po wyzwoleniu obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie od kwietnia 1945 do roku 1949 wędrował po Włoszech, zanim dotarł do Stanów Zjednoczonych i jako człowiek już prawie trzydziestoletni rozpoczął studia wyższe pod kierunkiem Romana Jakobsona na Harvard University

w Cambridge MA, a stanowiskiem teoretycznym, które wybrał, był strukturalizm. W roku 1954 uzyskał stopień doktora. Następnie został zatrudniony w Indiana University, stamtąd zaś przeniósł się do University of Chicago, by w roku 1971 zostać profesorem językoznawstwa i B.E. Bensinger Professor of Slavic Languages and Literatures na Uniwersytecie Yale. Na tych stanowiskach pozostawał do czasu przejścia na emeryturę w roku 1991. Potem przez dwadzieścia lat kontynuował pracę naukową i pisarską.

Powiedział kiedyś, że czasem pomagało mu w życiu to, iż umiał robić dwie rzeczy: pisać wiersze i malować, ale śmierci uniknął, „bo miał szczęście, cholerne szczęście”.